

The book cover features a stylized illustration of a woman's face in profile, looking towards the left. Her hair is rendered in thick, expressive yellow and black strokes. A small, grey bird with a pinkish-purple patch on its chest is perched on her nose. In the lower-left corner, a hand is shown holding a dandelion seed head. The background is a light, textured blue. The author's name and the title are printed in a bold, black, serif font.

ANKA TOMCZYK

**SAMOTNA
BEZROBOTNA**

SAMOTNA BEZROBOTNA



Anka Tomczyk

2018

Tekst : Anka Tomczyk
Projekt okładki i szaty graficznej: Anka Tomczyk

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób i zdarzeń jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Copyright © by Anka Tomczyk 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone, wraz z prawem do reprodukcji w całości lub we fragmencie w jakiegokolwiek formie. Kopiowanie oraz przetwarzanie tylko za zezwoleniem autora.

Wstęp

To nie będzie opowieść o dzielnej dziewczynie, która pokonując przeciwności losu oraz własne słabości, osiąga w końcu wszystko to, co sobie wymarzyła. Nie będzie wielkiej, kolorowej metropolii pełnej możliwości i otwartych dróg. Nie będzie też wsi, jaką zwykle uwieczniają w swoich książkach i filmach *miastowi*. Nie znajdziesz tutaj ugrzeczniionych obrazków sielskich łąk, błęgiego nieróbstwa i zjadania samo rosnących, ekologicznych marchewek. Nie będzie grzecznych pijaczków spod sklepu ani przyjaznych dialogów z sąsiadem. Piękno czerwonych zachodów słońca przesłonięte będzie ażurową konstrukcją żelaznych słupów wysokiego napięcia, a szumiące łany zbóż kryć będą w sobie więcej znoju i potu niż poetyckiego piękna. Odlatujące na południe ptaki, nie zawsze zachwyca widokiem, formującego się z ich ciał, klucza. Częściej zasmuca pełnym żalu śpiewem. Czasem w swojej złośliwości narobią ci na ramię, innym razem spadną bez ducha do twoich stóp. Dzikie sarny nigdy nie zostaną oswojone, a krople chłodnego skandynawskiego deszczu mieszać się będą ze łzami bezsilności. W cieniu wspomnień, toczyć się będzie nierówna walka młodzieńczych złudzeń z twardą rzeczywistością, a poszukiwanie własnego miejsca na emigracji nie zawsze skończy się sukcesem. I choć zaległe marzenia spełnią się czasem w ciepłym słońcu europejskich miast, wszystkie drogi i tak prowadzić będą z powrotem, do punktu wyjścia.

Nie będzie romantycznego rozlewiska ani ucieczki w Bieszczady. Nie będzie wielkomiejskiego szumu ani nawet małomiasteczkowej nudy. Będzie za to wieś zagubiona pośród lasów puszczy i smutny, stary dom. Będzie jezioro, zarośnięte od każdej strony pachnącym tatarakiem i wybujałą trzcina. Będą gumiaki i brudne dłonie. Mnóstwo komarów i tyleż samo błota. Kilka starych, na wpół zatopionych łódek i wielka, wielka samotność.

Jesteś gotowy?

Słońce, czereśnie i piłka nożna

1

„[...] *Friendships move on*

And until the day

*You can't get along [...]*¹

Summer moved on, A-ha

Z telefonu wyjmuję kartę sim. Ostatnio dzwonią do mnie niemal wyłącznie namolni telemarketerzy. Kasuję też wszystkie trzy adresy mailowe. Na każdy z nich, codziennie przychodzi po kilkanaście wiadomości. Wszystkie to spam. Nie kopiuję żadnych adresów ani numerów. Nie będą mi potrzebne. Przecież i tak nie utrzymuję z nikim żadnego kontaktu. Niektórych imion nawet nie kojarzę. Wszystkie te *Kasie, Anie i Karoliny* nic już nie znaczą. Nawet numeru mojej starej przyjaciółki, z którą znam się od ponad dwadziestu lat, nie zachowam. O czym miałabym z nią rozmawiać... Nie mam nic do powiedzenia. Znudziła mnie już rola wiernej powiernicy, do której można zadzwonić w razie kryzysu i wyrzucić z siebie wszystkie żale. Pustka wokół mnie staje się coraz bardziej rozległa, ale tego właśnie potrzebuję. Nie chcę wracać do przeszłości, choć wiem, że przyszłość nie będzie wcale lepsza.

Spalę wszelkie mosty, nie oglądając się na zgliszcza. Może to tchórzliwe, może dziecinne, może słabe...Ale takie ucieczki pozwalają zachować pozory, że o czymś w tym życiu mogę jeszcze decydować. Mogę odciąć się od przeszłości, która i tak wcale o mnie nie zabiega. Jedno szybkie cięcie i to co było, nie istnieje. Rzeczy, miejsca, ludzie, wydarzenia – wszystko co niesie jakiegokolwiek wspomnienia, znika. Gdzieś w głębi serca kołaczą się myśli o tym co było, ale z czasem wszystko staje się coraz bardziej zamglone. Oczyszczający rytuał nigdy mnie nie zawiódł, bo odrzucanie tego co było, wydaje się najlepszą drogą do wolności.

¹ *Przyjaźnie trwają
a nim minie dzień,
nie można się dogadać.*

„[...] a job that slowly kills you,
bruises that won't heal

*You look so tired-unhappy [...]*² No surprises, Radiohead

Budzik zadzwonił o 4.30. Leżę jeszcze chwilę w łóżku, ale jedno spojrzenie w okno, za którym pyszni się już wschodzące słońce, szybko ocuca mnie z resztek snu. To będzie kolejny upalny dzień, a ja muszę powyrywać chwasty z pola buraków. Wstaję, zmuszam się do szybkiego śniadania. Zabieram herbatę w butelce, zakładam na głowę przybrudzony kapelusik, a na nogi gumowce. Łapię jeszcze telefon, wyłącznie po to, żeby sprawdzić godzinę i posłuchać jakiejś przygnębiającej muzyki. Na mój nowy numer nikt przecież nie będzie dzwonił.

Pole jest oddalone ok. 2 km od domu, zatem wsiadam na rower. Jadę wąską i wyboistą polną družką wzdłuż jeziora. Rosa na trzcinach moczy moje nogi i ręce. Mam poranny prysznic. Na miejscu, witają mnie komary i meszki. Pomimo że jest już dosyć ciepło, mam długie spodnie i bluzę. Zaraz będę spocona, ale przynajmniej nie będę pokąsana.

Najgorszy jest pierwszy rząd. Patrzę na ogromne pole i wiem, że to wszystko jest dopiero przede mną. Później też nie jest łatwiej, ale przyzwyczajenie robi swoje. Pochylona, z bólem pleców, wyrywam i wycinam te chwasty. Mijają powolne minuty, kwadransy, godziny. Mozolnie brnę do przodu, rząd za rzędem.

Jestem w połowie tego, co założyłam wykonać w trakcie dzisiejszego poranka. Słońce coraz bardziej przygrzewa, czuję jak koszulka klei się do pleców, a zawzięte meszki nadal mają ochotę na moją krew. Pojawiają się pierwsze oznaki frustracji. W pracy fizycznej najgorsze jest to, że w trakcie jej wykonywania nie można uciec od myśli. Skupienie na mechanicznych czynnościach nie zajmuje głowy. A w niej bitwę toczą różne frakcje. Zazwyczaj zwyciężają te niezbyt optymistyczne. Nie chcę już myśleć o własnych niepowodzeniach i zastanawiać się dlaczego inni znajdują normalne prace, a ja nie potrafiłam. Powinnam zagłuszyć te myśli w zarodku. Zająć swój umysł czymś innym... Ale to ciągle silniejsze ode mnie. Myśli napływają bez mojego nadzoru. - *Co zrobię, kiedy moi rodzice przejdą na emeryturę albo umrą? Jak poradzę sobie sama na tej wsi? Teraz narzekam, że jestem parobkiem, ale może wcale nie jest tak źle... Przynajmniej mam*

² *Praca, która powoli cię zabija,
siniaki, które się nie wyleczą
Wyglądasz na zmęczonego – nieszczęśliwego.*

gdzie pracować i co jeść... Co będzie potem, kiedy zostanę z tym sama? Czy będę w stanie zarobić na własne utrzymanie? - ogarnia mnie panika. - Może powinnam pójść do zakonu? - w mojej głowie rodzi się dziwny pomysł. - Byłabym prawdopodobnie pierwszą kobietą, która zdecydowała się zostać zakonnicej z powodu bezrobocia. Jakże to żal. A może wcale nie bardziej niż powody innych? Większość zakonnicej wcale nie odczuwa powołania. Idą do zakonu bo przeżyły jakiś zawód miłosny albo najzwyczajniej nie miały powodzenia u facetów... Oczami wyobraźni zobaczyłam siebie w gronie zgorzkniałych starych panien, ubranych w szarobure habity. - Czy wytrzymałabym w zakonie? Surowe zasady, kompletny brak indywidualności i niezależności. A może lepiej od razu popełnić samobójstwo? Moje życie nie ma żadnego sensu. Nic mnie już przecież nie czeka. Po co się męczyć... A może jednak... Z samobójstwem można jeszcze poczekać. Choćby do tej trzydziestki. Jeśli nie będę miała z czego żyć, zawsze mogę nałykać się prochów na sen i powiedzieć światu – żegnaj.

Myśli wybiegają w nieciekawą przyszłość, a słońce obojętnie wędruje po niebie, nade mną. W międzyczasie kończę wyrwać uporczywe zielska z kolejnego długiego rządka. Na zegarku kilka minut po jedenastej. Czas na odpoczynek. Wycieram spocone czoło, piję parę łyków chłodnej herbaty i wsiadam na rower. Upał tak bardzo dokucza, że nawet powrót do domu mnie męczy.

Na pole wracam dopiero po południu, kiedy słońce słabiej promieniuje. Jest wtedy chłodniej, ale za to komary i meszki gryzą tak, że aż podskakuję z bólu. Z niecierpliwością upatruję końca każdego kolejnego rządka. Po powrocie do domu, zmywam z siebie kurz i pot, po czym zjadam nieregulaminową kolację. Zazwyczaj staram się nie jeść po dwudziestej, ale dzisiaj jestem głodna. Poza tym to tylko musli z jogurtem i truskawkami. Kiedy włączam tv, akurat rozpoczyna się mecz *mojej* Portugalii. Nie wiem dlaczego akurat do zespołu z tego kraju, mam taki sentyment, ale już od 10 lat wiernie mu kibicuję. Z uśmiechem przypominam sobie jak dekadę temu, pewnego czerwcowego wieczora, nudząc się przed telewizorem, nagle wraz ze swoim pilotem trafiłam w sam środek piłkarskiego szaleństwa. To były czasy, kiedy nasi albo w ogóle nie kwalifikowali się do wielkich piłkarskich imprez, albo jeśli już w nich występowali, to tradycyjnie w trzech meczach - w roli chłopców do bicia. Swoją drogą, występy Polaków na piłkarskich turniejach, miały zawsze jakiś wspólny mianownik z moimi osiągnięciami na rozmowach kwalifikacyjnych. Piłkarze, jakkolwiek by się nie starali i jakim ustawieniem nie grali, nie byli w stanie wyjść poza magiczną barierę fazy grupowej. Podobnie jak oni, ja także nie potrafiłam zaprezentować się na tyle pozytywnie, by któryś z przepytujących mnie *bogów* świata pracy, oddzwonił kiedykolwiek z propozycją zatrudnienia. Dekadę temu, ze swoją prywatną

porażką miałam jednak spotkać się dopiero w przyszłości. Nie zmałona jeszcze moim bezrobociem, atmosfera tamtych mistrzostw obudziła we mnie duszę kibica, a zabawa w obstawianie wyników cudzych drużyn, wciągnęła na dobre. Wtedy właśnie, jako niewiele wiedząca o sporcie - płoche dziewczę, pierwszy raz w życiu obejrzałam cały (łącznie z dogrywką i karnymi) mecz. Po jego obejrzeniu, zostałam bezdyskusyjnym, dozgonnym i wiernym kibicem Portugalii. Spotkanie było emocjonujące, a jeden z bramkarzy na tyle przystojny, że po ostatnim gwizdku, nie mogłam doczekać się kolejnego z jego udziałem. Z zapartym tchem i zaciśniętymi kciukami, oglądałam następne mecze. *Mój* bramkarz bronił niesamowicie i między innymi, dzięki jego świetnej grze, moja zastępcza drużyna narodowa wspinała się coraz wyżej. Od tamtego momentu, na wszystkich kolejnych turniejach wiernie jej kibicowałam. Oglądałam wloty i upadki, zmiany trenerów oraz składu. Przyszedł też czas na to by mój ulubiony bramkarz ustąpił miejsca innemu koledze. W mojej sympatii do tej drużyny nic jednak się nie zmieniło. Do dzisiaj kibicuję im jak swoim rodakom i czekam na sukcesy. Tym razem gra idzie im słabo, mecz oglądam jednak z nadzieją do końca. Ostatecznie Portugalczycy przegrali. A tak im kibicowałam...

4:30. Wyłączam czym prędzej koszmarny dźwięk budzika. Kolejny dzień, podobny do poprzedniego. Tylko na polu, rządaków przede mną jest tym razem wyraźniej mniej niż ostatnio. Słońce razi w oczy od samego rana. Przez pomyłkę wrywam buraczka zamiast zielska. Na chwilę prostuję się. Rozglądam się dookoła i próbuję odgonić czarne myśli. Tym razem udaje mi się to lepiej niż poprzedniego dnia i w spokoju pracuję do 10. Po obiedzie zrywam wiśnie. Razem z mamą zrobimy kilka słoiczków dżemu. Cała upačkana w czerwonym soku patrzę na lecący nad moją głową samolot. Zmierza gdzieś na wschód. - *Może gdybym umiała pływać, też bym tam teraz leciała...* - myślę. W ubiegłym roku, z ciekawości poszłam na spotkanie rekrutacyjne dla stewardess. Szukali zdesperowanych kobiet, które zdecydowałyby się zamieszkać w Arabii Saudyjskiej. - *W Arabii?* - matka dopytywała sceptycznie. - *Przecież kobieta jest tam nikiem...* Miała trochę rację, ale czy w Polsce jestem kimś? Przeszłam pierwszą selekcję, napisałam test ze znajomości angielskiego i dostałam zaproszenie na kurs, z którego jednak nie skorzystałam. Wymóg umiejętności pływania okazał się wystarczającą przeszkodą, której nie potrafiłam przeskoczyć. Choć postanowiłam wziąć kilka szybkich lekcji pływania u prywatnej trenerki, nie zdołałam pokonać swojego lęku. Gdy tylko pojawiłam się na pływalni, przypomniałam sobie swoją traumę z dzieciństwa. Oczami wyobraźni widziałam ponownie nauczycielkę wychowania fizycznego, która z długim kijem w rękę i opiętych jeansach na wielgachnym tyłku, stała nad nami i kazała skakać do wody. Nigdy wcześniej nie uczyłam się pływać,

więc zanurkowanie do zbiornika o głębokości 1,80 m. było dla mnie nie do pomyślenia. Obowiązkowe lekcje pływania, na których nie uczono pływania, a jedynie wymagano zaliczenia tego bądź innego zadania, były dla mnie istną udręką. Przy okazji każdego takiego egzaminu, grzecznie odmawiając wykonania polecenia, pani równie grzecznie wpisywała mi do dziennika jedynkę za jedynką. Dodając do tego jeszcze te wszystkie marne dwójki i trójki za pokracczne skoki przez kozła oraz rozpaczliwe próby stawania na rękach, z w-fu zawsze miałam najgorsze stopnie. Odpędziwszy złe wspomnienia szkolnych lat, podczas prywatnych lekcji ostatecznie nauczyłam się przepływać z jednego końca basenu na drugi. Moje postępy przychodziły jednak zbyt wolno, a oferta z Arabii straciła w tym czasie swoją ważność. Gdy w końcu mogłam pochwalić się – dosyć niezdarną, ale zawsze - umiejętnością pływania, okazało się, że inne firmy lotnicze nie patrzą na mnie tak przychylnym wzrokiem, jak ta Saudyjska. Na kolejnych dwóch rekrutacjach dla przyszłych podniebnych kelnerek, odpadłam ze względu na wygląd. Raz nie wpisałam się w ogólną wizję prezencji, którą wyznaczał jakiś z góry określony, firmowy ideał piękna. Podczas drugiej, odpadłam na etapie kontroli uśmiechu. Śliczna rekruterka z mocną szminką na ustach i perfekcyjną cerą, zaglądając niczym koniom, w zęby wszystkich uśmiechniętych kandydatek, moje uzębienie oceniła na niedostatecznie zadowalające, bym mogła świecić nim przed pasażerami. Z perspektywy czasu, myślę że może i dobrze się stało. Nigdy nie lubiłam bliskiego kontaktu z ludźmi, a w byciu usłużną i sympatyczną również nie byłam najlepsza. Ponownie spoglądam w czyste, letnie niebo. Nad moim sadem, przelatuje kolejny samolot, a miska zerwanych wiśni jest prawie pełna. Moje miejsce jest tu, na ziemi.

4.30...Budzik dźwięczy i kolejny raz okrada mnie z końcówki snu. Patrzę za okno. Jest mgła. Dzień chyba nie będzie aż tak upalny. Przysypiam. Po drzemce wstaję na równe nogi. Godzina 5.15... Cóż, dzisiaj wyjdę trochę później. Zjadam śniadanie i ubieram się w robocze łachmany. Jadę rowerem, ale muszę co kilka metrów go prowadzić. Po wczorajszej ulewie, dróżka nad jeziorem zamieniła się w błoto. Kiedy dojeżdżam na pole, wiem że praca będzie ciężka. Motyka oblepia się, więc postanawiam wrywać chwasty rękami. Rękawiczki i buty toną w błocie już po kilku minutach. Po godzinie cała jestem zabłocona. Mgła opada, a słońce zaczyna mocniej przyświecać. Zaczynam słabnąć. Kręci mi się w głowie i czuję, że chyba zaraz upadnę. Siadam na chwilę na miedzy, żeby odpocząć. Dzisiaj jestem już u kresu wytrzymałości. Tej fizycznej i tej psychicznej. Jak na złość, na dodatek akurat teraz, przed oczami stają mi opublikowane wczoraj na fejsie, najnowsze wakacyjne fotki Magdy. A właściwie Magdaleny, bo tak zawsze kazała do siebie mówić - nawet gdy miała 7 lat. Piękna i bogata Magda–Magdalena, skazana na sukces już chyba od dnia narodzin. Takim

jak ona, zawsze wszystko układa się po myśli i samo wpada w ręce. Takie Magdy–Magdaleny nie zaliczają setek nieudanych rozmów kwalifikacyjnych i nie wiedzą co to bezrobocie lub ciężka, fizyczna praca. Nie znają smaku odrzucenia, upokorzenia, ani samotności. Dzieciństwo spełza im na beztroskiej zabawie w domowych pieleszach, lata szkolne w glorii i chwale, a dorosłe lata przynoszą kolejne etapy poukładanego życia. A przecież prócz alabstarowej cery, małego noska i bogatych rodziców, Magdalena nigdy nie wyróżniała się jakąś nadzwyczajną inteligencją czy szczególnym talentem. Po prostu miała szczęście. Ślepy los rozdaje swoje dobra jak popadnie. Temu, kto ma już sporo, często dorzuca jeszcze więcej. A potem szczęściary, takie jak Magda–Magdalena, na swoich social mediach głoszą wszem i wobec, że sukces człowieka zależy tylko od nas samych... Dręczy mnie dzisiaj ten cudzy dobrobyt. Gryzie widok uśmiechniętej Magdaleny i jej przystojnego partnera w Bangkoku. Tajlandia... W tej chwili wydaje mi się równie odległa, co księżyc. - *Po co wchodziłam na ten profil?* – wyrzucam sama sobie. Co jakiś czas katuję się, przeglądaniem ze swojego fikcyjnego konta, zdjęć starych znajomych i za każdym razem doprowadza mnie to do frustracji i poczucia własnej klęski. Zresztą, żeby tak się poczuć, nie muszę oglądać ich lukrowanych fotografii. Co dzień, patrzę na odległe domy rodzinne moich dawnych koleżanek, w których one już nie mieszkają. Z zazdrością i złością w sercu, klnę pytając samą siebie - *W czym, do cholery, one są lepsze?! Dlaczego im życie układa się inaczej?! Dlaczego ja muszę się tak męczyć?!* Przecież nie były ode mnie ani mądrzejsze, ani ładniejsze...A może jednak? Może Ci wszyscy ludzie, którzy tak nisko mnie oceniają, mają rację? Może rzeczywiście ja najzwyczajniej do niczego się nie nadaję? Tylko do tego pielenia warzyw... Co jest prawdą? To, co sami o sobie myślimy czy jednak to, co myślą o nas inni?

Po skończeniu jednego z tych nikomu niepotrzebnych, humanistycznych kierunków studiów, szukanie pracy w czasach spowolnienia ekonomicznego, okazało się niczym innym jak drogą donikąd. Był rok 2010, choć równie dobrze mógł być 2012 lub 2008... We wspomnieniach, wszystkie te podobne do siebie, minione jesienie i wiosny, zlewają się w ciąg lat, których nie jestem w stanie rozróżnić. W każdym bądź razie, były to kryzysowe początki drugiej dekady dwudziestego pierwszego wieku i byłam ja – dziewczyna znikąd – nieprzebojowa, próbująca wkroczyć na rynek pracy. Ze swoim nic nie wartym dyplomem magistra (którego, tak na marginesie, nigdy nawet nie odebrałam z dziekanatu), nie zasługiwałam ani na pracę w zawodzie, na który się szkoliłam, ani na posadę sekretarki czy recepcjonistki w hotelu. Zwykle prace w sektorze usług okazały się dla mnie także za wysokim progiem do pokonania. Nie nadawałam się ani do sprzedawania książek, ani butów, ani szmat produkowanych w Bangladeszu czy Chinach. Rozsyłane CV odbijało się o

ścianę, którą stanowiły w moim przypadku różne podejrzane firemki, poszukujące telemarketerów. Jedynie one oferowały mi pracę. Zazwyczaj bez gwarantowanej podstawy, z pensją zależną jedynie od wyników, na dodatek z jakimś płatnym, wyjazdowym szkoleniem, na którym przyszłym pracownikom wtłacza się do głów różne, lepkie od fałszu, formułki. Będąc jeszcze na studiach, spróbowałam swoich sił w telemarketingu i szybko przekonałam się, że to nie dla mnie. Nie chciałam zostać kolejnym natrętnym głosem, który wydzwania co kilka dni do tych samych ludzi i namawia ich na rzeczy, których oni nie potrzebują. Nie chciałam być częścią tego łańcuszka wyłudzaczy, którzy zapraszają starców na spotkania pokazowe garnków lub pościeli, które kosztują po kilkanaście tysięcy złotych. Nieliczne rozmowy o ambitniejsze prace kończyły się w zasadzie w chwili ich rozpoczęcia. Cokolwiek bym nie powiedziała, widziałam niemal wypisany na czołach tych wszystkich *HR specialists* napis: NIE MA TU DLA CIEBIE MIEJSCA. ZAPROSILIŚMY CIĘ PRZEZ POMYŁKĘ. Jedno nieudane interview, drugie, kolejne... Przestałam liczyć i w końcu straciłam chęć na odpowiadanie na te wszystkie powtarzające się pytania: - *Dlaczego chce Pani u nas pracować? W czym jest Pani lepsza od innych kandydatów? Jakie są Pani marzenia, oczekiwania? Jakie są Pani mocne i słabe strony?* Pewnego razu, jeden z rekruterów stwierdził na koniec z nonszalancją w głosie - *Może trzeba pomyśleć o założeniu własnej firmy?* Inny wąpił w siłę moich mięśni, w sytuacji gdyby przyszło mi przenieść gdzieś pudło ze stertą gazet. Szkoda, że nie widzi, jak muszę dźwigać wiadra ważące po 25 kg. Pewna troskliwa pani, twierdziła, że skoro nie pochodzę z Warszawy, to ona nie może tak ingerować w moje życie i wymagać bym się tam na stałe przeprowadziła. Był pan, któremu przeszkadzało, że nie jestem związana z Krakowem. Byli też tacy, którzy z fałszywym uśmiechem zapytali czy pracowałabym w ich księgarni za 300 zł miesięcznie. Byli nawet tacy, którzy oferowali pracę za darmo – *Bo przecież z Naszej strony to wielkie ryzyko, zatrudnić młodą osobę bez doświadczenia.* A przecież etap darmowych staży już przerobiłam na studiach. Było wydawnictwo, biblioteka i lokalna gazeta. Wszędzie kończyło się podobnie - *Jest pani świetna, ale na pieniądze nie ma co liczyć.* Moim największym sukcesem w rekrutacyjnych potyczkach był chyba dzień próbny w sklepie odzieżowym, na który zaproszono blisko setkę ludzi, takich jak ja. Co dzień, w sklepie pojawiał się ktoś nowy, a dopóki kolejne osoby, odpowiadały na ogłoszenie, okres testowania trwał w najlepsze. Nie wiem czy ktokolwiek z tego grona dostał pracę sprzedawcy, ale sklep niewątpliwie przez jakieś trzy miesiące zaoszczędził na pensji dla dodatkowego pracownika. Podczas mojego próbnego dnia, nauczyłam się jak ładnie składać jeansy oraz w jaki sposób wieszać niskiej jakości t – shirty, by sprawiały wrażenie wartych, swojej na ogół zawyżonej ceny. Zapytałam kilkadziesiąt razy - *w czym mogę*

pomóc i tyleż samo razy, z ust klientek usłyszałam w odpowiedzi, że w niczym bo – *ja tylko oglądam*. W międzyczasie rozplątywałam tandetne, połączone ozdóbki, które wysypane zostały przede mną na ladzie, w postaci nieuporządkowanego stosu. Na koniec dnia, etatowe pracownice - przyzwyczajone już do delegowania testowanych osób do zmywania podłóg, wręczyły mi mop i z fałszywym uśmiechem, na do widzenia, wyrecytowały znaną już formułkę – *Odezwiemy się wkrótce*. Cokolwiek bym nie powiedziała, czego bym nie umiała i gdzie bym nie poszła, odchodziłam z kwitkiem. Jakbym była zaczarowana. W pewnym momencie byłam gotowa wziąć cokolwiek. Odpowiedziałam na ogłoszenie jakiejś restauracyjki, w której szukano kelnerki. Właściciel zadzwonił tego samego dnia i zaprosił na rozmowę. Na wstępie wyjaśnił, że skontaktował się ze mną z czystej ciekawości - *Bo nurtowało mnie co skłania taką osobę do podjęcia pracy kelnerki... Skończony Uniwersytet, języki - angielski, hiszpański, nawet podstawy projektowania baz danych*. Po rozmowie, miał odezwać się telefonicznie. Rzecz jasna, nie zadzwonił. Wtedy zrozumiałam, że jest ze mną naprawdę źle. Że nie ma dla mnie nigdzie miejsca. Warszawka wypluła mnie, nie spróbowałszy przeżuć moich umiejętności. W rodzinnych stronach, nawet żeby usiąść na kasie w Biedronce trzeba było mieć znajomości. Inne mniejsze i większe miasta także nie skusiły się by skorzystać z moich usług. Czułam się wtedy jak nieznany nikomu, początkujący aktor, który odbija się od castingu do castingu i za każdym razem okazuje się być niedopasowanym do wizji reżysera. Odrzucany aktor w końcu mówi sobie *dość* i idzie do normalnej pracy. Ja po odrzuceniu nie miałam gdzie pójść. Nikt nie chciał dać mi szansy. Wróciłam więc na wieś. I tak zostałam bezrobotną wieśniarą.

Pewnie sama jestem sobie winna. Nikt nie kazał mi studiować kierunku bez przyszłości. Sama go sobie wybrałam, a potem choć domyślając się, że daleko mnie to nie zaprowadzi, brnęłam w każdy kolejny rok – aż do magisterki. Trzeba było skończyć medycynę, budownictwo albo informatykę. Może wszystko wyglądałoby teraz inaczej. A tak... Pięć lat na uniwerku i nic. Zostały tylko wspomnienia: bramy głównej na Krakowskim Przedmieściu, cichego szmeru w BUWie, piątek z wykrzyknikami za (genialną ponoć) pracę magisterską oraz wymarłych już, przelotnych znajomości z ludźmi z roku. - *Uniwersytet to nie szkoła zawodowa. Tutaj staje się państwo elitą kraju, kształtuje się wasza świadomość i rozwija inteligencja, poszerzają horyzonty. Dyplom może się kiedyś przyda, a może i nie. Nie on jest tu najważniejszy. Na uniwersytecie możecie nauczyć się jak wykorzystać to co macie w głowach i jak na tej podstawie budować własną rzeczywistość. Jeżeli przysłuchacie tutaj, żeby uzyskać zawód i zarabiać pieniądze, lepiej rzućcie studia i pójďte na kurs fryzjerstwa* – na jednym z pierwszych wykładów, radził nam pewien profesor. Jaka szkoda, że nie wzięłam wtedy jego słów do serca. Pamiętam, że

nawet lekko się nimi obruszyłam. A potem nabijałam swoją głowę wiedzą nikomu, może poza garstką akademików, niepotrzebną. Istotnie, po pięciu latach na Uniwersytecie stałam się człowiekiem bardziej światłym, obytym i mam nadzieję inteligentnym. Wiem kim był średniowieczny bakałarz i jak wyglądało życie skryby. Pamiętam do dziś nazwiska filozofów i główne założenia, głoszonych przez nich tez. Znam etapy produkcji papieru oraz różne parametry, które określają jego rodzaje. Zapoznałam się z obsługą programów graficznych oraz systemów informacyjnych. Jednak ani to, ani znajomość historii książki rękopiśmiennej czy zasad językoznawstwa, nie jest w stanie zapewnić mi chleba. Cóż po pełnej głowie, gdy brzuch pusty? Może nawet łatwiej byłoby mi znieść całe to upokarzające i uciążliwe życie wiejskiego parobka, gdybym była prostym, niewykształconym człowiekiem. Może nie rozmyślałabym tyle o swojej egzystencji i niezrealizowanych ambicjach. Może nie czułabym tego żalu i niedowartościowania.

Teraz, tonąc w błocie wszystko wydaje się takie nieznośne. Prostuję rozbolące plecy i ledwo utrzymuję się w pionie. Mroczki przed oczami, cały świat robi się zielony...Szum w uszach. Skroń pulsuje. To gorące powietrze zdaje się gęstnieć i ciążyć na głowie. Czuję się jakbym na chwilę straciła przytomność. Raz by mnie porządnie coś przycisnęło i byłby koniec tej męki. Jakiś zawał serca czy udar. Matka mówi – *Za młoda jesteś na zawały i udary. Musisz żyć.* Mam dość takiego życia. Coraz częściej myślę, że chciałabym umrzeć. Moje poczucie niezrealizowanych ambicji rośnie w oczach i dotyka niemal nieba. Łzy płyną po policzkach, wyję z bezsilności, ale cóż mi pozostało. Wyrrywam te zielska. Jeszcze kawałek, muszę przecież dokończyć ten rząddek.

Znowu 4.30. Tym razem mój biologiczny zegar uprzedził melodyjkę z telefonu. Szybko, żeby nie musieć wysłuchiwać znieciercierzonego dźwięku, wyłączam alarm. Przeciagam się i z obojętnością spoglądam w okno. Słońce. Ale to dobrze, dzisiaj chyba ostatni dzień pielienia buraków. Powinnam skończyć do południa, a potem trochę upragnionego lenistwa.

Ostatni rząddek dłuży się niemiłosiernie. Koniec niby jest tuż tuż, a jednak ciągle przede mną. Dłonie porządnie bolą, czuję już odciski. Ale to ostatnia prosta. I wreszcie kończę. Wypuszczam głośno powietrze. Wypijam resztę wody z butelki i powoli kieruję się w stronę domu. Jadę, lekki wiatr chłodzi spocone ciało. Z poczuciem dobrze wykonanego obowiązku i ulgi, planuję spędzić kolejny dzień nad Wisłą. Resztę dzisiejszego roztrwonię na inne przyjemności. Po chłodnym prysznicu, idę do sadu. Przepędzając szpaki, zrywam czereśnie i porzeczkę. Siadam na ławeczce w cieniu i gapię się na spokojną toń mojego jeziora. Mundial trwa. Obstawiam, że dzisiejszy ćwierćfinał skończy się wynikiem 1:0.

Zgodnie z genetycznie odziedziczoną po mamie niechęcią do Niemców, w meczu kibicuję ich przeciwnikom. Niestety, Niemcy grają zbyt dobrze i znowu zwyciężają. Zасыpiam jako frakcja pokonana. Jak zwykle. I wcale mnie to nie dziwi.

Nazajutrz z rana, po śniadaniu pakuję ręcznik, książkę, wodę do picia i aparat. Pedaluję na jedną z nadwiślańskich plaż. O tej porze, w zwykły dzień tygodnia, mało kto tu zagląda. Słońce, miękki piasek i woda – tyle mi wystarcza żeby złapać nieco dystansu. Od razu czuję się lepiej. I fizycznie i psychicznie. Moje dawne koleżanki, które robią kariery w miastach – jednak też mogą mi czegoś zazdrościć – myślę z satysfakcją. One w środku tygodnia muszą wbijać się w swoje ładne ubranka i siedzieć do godzin popołudniowych w tych swoich ambitnych pracach. Obok możliwości obcowania z naturą, ostatnią zaletą pracy na wsi jest wolność, której trudno szukać w innych zawodach. Swobodne dysponowanie swoim czasem i brak ciągłego dozoru ze strony szefa, osładzają trudy ciężkiego życia. Doceniam to, choć nadal ciężko mi się pogodzić z tym, że jestem tylko nie znaczącym parobkiem.

W wiejskim gnieździe żmij

„ [...] *In fake plastic Earth*

That she bought from a rubber man

In a town full of rubber plants [...]”³

Fake plastic trees, Radiohead

Wyjątkowo czerwono-fioletowy zachód słońca ozdabia dzisiejsze niebo nad moim horyzontem. Zachwygam się tym widokiem, choć piękno gasnącego słońca przesłaniają tu żelazne linie słupów wysokiego napięcia. Miejscowość, w której mieszkam, leży w cieniu jednego z tych sennych, pożydowskich miasteczek, jakich w Polsce wiele. Otoczona lasami i wąskimi polami, które z lotu ptaka przypominają gigantyczne gąsiennice, żyje własnym rytmem. Tutejsi rolnicy nie wpadli jeszcze na pomysł wyprzedawania swoich 3-5 hektarowych ojcowizn. Nie wzbogacili się też na tyle by kupować sąsiedzkie ugory i gospodarzyć na wielkich majątkach. Młodzi pouciekali do miast, a starsi każdego roku, obsiewają swoje kawałki ziemi, czekając na kolejny zbiór oraz wiek, w którym dostaną emeryturę. Co prawda, unijne dotacje dotarły nawet tu i na przestrzeni ostatnich lat zmieniły znacznie krajobraz oraz stan wiejskich podwórek. Ciągłe jednak, obok błyszczących nowością zagranicznych maszyn, widać stare Ursusy i Bizony, a dochody ze sprzedaży liczone są raczej w setkach niż tysiącach złotych. Dzikie położone są w cichej okolicy. Na szczęście, nie jest to jedna z tych wsi, które leżą wzdłuż ruchliwych tras, po których mkną śpieszące się pojazdy.auta, ciężarówki i busy, które nagminnie zabijają przechodzące przez jezdnię koty i psy. Cieszę się, że nie mieszkam wśród szeregu mniejszych bądź większych domów jednorodzinnych, których oświetlone okna wieczorami zdradzają wszystkie sekrety ich mieszkańców. Cieszę się, że nie ma tutaj dosłownie niczego prócz pól, jeziora i lasu. Nie ma sklepu, szkoły ani żadnej świetlicy. Nie ma niczego, co skupiałoby ludzi w grupy. Dzięki temu jest tu nad wyraz spokojnie i pusto. Pomimo to, nie znoszę tej wsi. Wsi, jej mieszkańców, tego przebrzydłego miasteczka i wszystkich okolicznych zaprzyiałych miejscowości. Czasem wydaje mi się, że ten ukryty w lasach puszczy, skrawek ziemi jest domem dla samych jadowitych żmij.

Teren jest tu nieco pagórkowaty. Mój dom stoi na uboczu, w dolince. Zdecydowanie niżej niż reszta wsi. Jakby ukryty, zapomniany. Nawet droga z brukowanej kostki tutaj nie dociera. Wiele lat temu, radni gminy Koziebobki wraz z zajmującym swoje stanowisko nieprzerwanie od 20 lat - burmistrzem – Zenonem Maślanką najwyraźniej uznali, że

³ *Na sztucznej plastikowej Ziemi,
którą kupiła od gumowego człowieka,
w mieście pełnym gumowych roślin.*

Dziczki kończą się u bram sąsiada i tam zakończyli wszelkie prace nad utwardzaniem piaszczystego przejazdu. W efekcie, latem dojeżdża się do mojego domu w tumanach kurzu niczym na pustyni. Zimą przedziera się przez śnieżne zasy. Natomiast deszczową wiosną i jesienią grzęźnie w błotnistych koleinach.

Po lewej stronie mam za sąsiada jezioro, a za bramą wjazdową widok na łąkę i las. Przed drugą wojną światową, teren ten należał do bogatej rodziny Mirskich. Po wojnie, dziedzic podzielił swój majątek i sprzedał Halskim, Gąsiorkom oraz teściom Ciuka – mojego sąsiada. Wiejska legenda głosiła, że na ziemiach dziedzica wisi klątwa, ponieważ miejsce to często nawiedzały pożary, niszczycielskie wichury oraz podtopienia. Od czasów, kiedy Mirski pozostawił na pastwę losu swój dworek, młyn i stajnie, nikt nie zdecydował się zagospodarować tego miejsca. Ostatecznie plac opustoszał, zabudowania popadły w ruinę i wszystko zarosło trawą. Po otoczonych lasem pagórkach, chasają obecnie konie Ciuka, które spowite w gęstej mgle, zdają się być jedynymi strażnikami opuszczonego majątku, po którym zachowała się już tylko stara studnia. Niekiedy z tej studni, spostrzegawcze oko może dostrzec wylatujące w górę, tajemnicze, czerwone światełko. Światełko pojawia się najczęściej o zmroku lub tuż przed świtem. Wzlatując w stronę nieba, szybko gaśnie, podsycając jedynie powoli blaknące echa lokalnych gawęd. Dawniej mówiono, że na ziemiach dziedzica zakopane zostały skarby. Podobno stary Gąsiorek odnalazł na swojej części gliniany gar ze złotem, dzięki któremu wzbogacił się z dnia na dzień. Do dziś bywają tacy, którzy wierzą, że tajemnicze czerwone światełko wskazuje drogę do ukrytych w piaszczystych ziemiach pod lasem, kosztowności. Jak dotąd, jedynym potwierdzonym skarbem, jaki udało się tam znaleźć, są dwie stare urny z prochami, które zostały odnalezione kilkanaście lat temu przez bawiące się w piachu dzieciaki. Zresztą, pod wiejskimi zabudowaniami, kryje się tu prawdopodobnie więcej takich skarbów. Podczas wykopywania fundamentów, jeden z mieszkańców wsi odkrył, że całe jego podwórze stoi na dawnym cmentarzysku. Nic jednak sobie z tego nie robiąc, dom wybudował, a podwórze zalał betonem. W dzieciństwie, sama wielokrotnie odnajdywałam na polach - wywleczone na wierzch przez maszyny ojca, skorupy dawnych, glinianych naczyń. Obecnie, o tym co kryje się pod warstwą ziemi po której stąпам, przypominam sobie tylko czasem w ciepłe letnie wieczory. Przy świetle księżyca i rechocie żab, oczami wyobraźni łatwiej dostrzec, to co było. Czasem wydaje mi się, że w tej dziwnej, gęstej mgle, która nadzwyczaj często otula dolinę wokół jeziora, duchy pradawnych mieszkańców wracają na swoje dawne ziemie. Za dnia, trawiaste pola nie różnią się jednak niczym od pozostałych, a cała okolica żyje w zwyczajny sposób, nie rozmyślając o tym, co znajduje się metr pod ziemią.

Po prawej stronie od mojego domu, przy biegnącej w górę drodze, zaczynają się

kolejne domostwa. Najbliżsi sąsiedzi to wspomniany Ciuk i jego eks-żona. Para po 60-tce. Związek z burzliwą przeszłością. Kilkanaście lat po rozwodzie, powrócili do siebie, by później znowu popaść w konflikt. Od kilku lat nie rozmawiają ze sobą, mieszkając na jednym podwórzu, ale w dwóch osobnych domach. Na ogół nie zwracają na siebie uwagi i żyją tak jakby siebie nawzajem nie zauważali. Czasem jednak - chyba dla rozbudzenia wygasłych namiętności – przechadzają się po podwórzu w negliżu. On w samych majtkach, ona w biustonoszu i spódnicy. On to typowy podstarzały kobieciarz. Ona wredna sekutnica o androgenicznym głosie. Znudzona brakiem obowiązków i ogarnięta pedantyczną obsesją czystości, po sterylnym wysprzątaniu swojego domu i podwórka, czyści nawet krawężniki i brukową kostkę na drodze. Pobocze wokół ich posesji jest chyba najbardziej jałowym, jakie widziałam w swoim życiu. Nie ma prawa na nim urosnąć żaden chwast czy jakiś wolnorosnący krzew. Wszystkie samozasiewające się rośliny, Ciukowa traktuje silnymi środkami chemicznymi, które szybko rozprawiają się z każdym niechcianym gościem. Czasem w swoim niszczyielskim zapale, bezpardonowo pryska nawet rosnące za naszym płotem bzy i jaśminy, które w nagły sposób usychają i marnieją. Ciukowie, choć skonfliktowani, mają pewne cechy wspólne. Przede wszystkim wścibstwo. Z ciekawością, zagląдают nam za płot i zawsze sprawdzają kto do nas przyjechał. Zdawać by się mogło, że każde prowadzi własny rejestr wjazdów i wyjazdów. Ciuk swoje obserwacje prowadzi na ogół z ukrycia, chowając się w krzakach tuji, Ciukowa stojąc jawnie w opłotkach. Oboje snoby na emeryturach, chełpiący się faktem, że ich synowie mają dobrze płatne prace i ożenili się z bogатыmi pannami. Nie znoszą obojga, a oni (jak zresztą wszyscy w tej wsi) śmieją mi się prosto w twarz, że nie znalazłam pracy.

Tuż obok Ciuków mieszka Eryk McKenziey. Eryk przez kilka lat pracował w Glasgow, stąd to szkocko brzmiące nazwisko, które tak naprawdę jest tylko przydomkiem, nadanym mu przez kolegów. Kiedy sytuacja na polskim rynku pracy nieco się poprawiła, wrócił do ojczyzny i już jako starzejący się kawaler, zaczął rozglądać się za żoną. Jego uwagę przykuła dużo młodsza dziewczyna z Ukrainy, która pracowała przy zbiorze ogórków, na polu sąsiada. Niektórzy mówili, że była to wielka miłość od pierwszego wejrzenia. Inni głosili teorie na temat wyrachowanego planu dziewczyny, która chciała wykorzystać starego, naiwnego Polaka. Tak czy inaczej, będący już po czterdziestce McKenziey, wstąpił w związek małżeński, który trwał kilka lat i stanowił przez ten czas pożywkę dla wiejskich płociuchów. Jak to często bywa, związek z dużą różnicą wieku między partnerami, pochodzącymi na dodatek z różnych krajów, cieszył się niezdrowym zainteresowaniem ze strony otoczenia. Pamiętam jak, faceci gapili się i szeptali złośliwe komentarze na temat młodej Ukrainki, gdy ta przechodziła przez wieś. Teściowie kobiety także nie kryli niechęci do swojej

synowej, wygłaszając wszem i wobec niepochlebne opinie na jej temat. Pewnego dnia, kobieta nagle wyjechała i ślad po niej zaginął. Plotki głosiły, że wyszła za Eryka po to by uzyskać obywatelstwo w UE. Może to prawda, a może zwyczajnie sytuacja ją przerosła i nie wytrzymała. Kto wie, czy sam mąż nie wystraszył jej swoim niezwykle porywczym usposobieniem. Choć bardzo szczerzy i pomocny, McKenzy to korpulentny nerwus o wrzaskliwym głosie, który ma w sobie jakiś pierwiastek szaleńca. Pozuje na wszechwiedzącego i sprawia wrażenie trudnego w domowym pożyciu. Porzucony przez żonę, stał się w ostatnich latach zgorzkniały i negatywnie nastawiony – zwłaszcza do kobiet.

W swojej niechęci do płci pięknej McKenzy znalazł ostatnio kompana w osobie swojego sąsiada z naprzeciwka – też rozwodnika – Lucjana Adamskiego. Układający życie na nowo, lekko wyniosły i podkreślający na każdym kroku swoją pozycję zawodową, flegmatyczny posiadacz wielkiego nosa, nazywany jest przez wszystkich wokół z lekką kpinią *Magistrem Inżynierem Kulfonem*. Emerytowany inżynier niewiele robiąc sobie z żartów sąsiadów, od jakiegoś czasu stara się pobudzić do życia odziedziczone i zaniedbane przez lata – gospodarstwo swoich rodziców. Niestety efekty rolniczej działalności *Magistra Inżyniera Kulfona* nie zadowolają go, doprowadzając do coraz większej frustracji. Co jakiś czas zmienia zatem profil swojego gospodarstwa. Uprawia raz truskawki, innym razem pszenicę, w międzyczasie rozpoczyna hodowlę trzody lub bydła, by na koniec utyskiwając na niskie dochody, stwierdzić, że – *Na tej wsi nie da się żyć*.

Po drugiej stronie drogi, tuż obok Eryka, w swoim luksusie pławią się Lewandowscy - reprezentanci sfery nowobogackiej elity. Kilka lat temu, na odziedziczonej po babce działce pod lasem, zbudowali okazały dom. On – z zawodu *dyrektor*. Ona – jedna z tych opryskliwych i wrednych gminnych urzędniczek. Do tego dwójka dorastających dzieci i jazgotliwy mikro pies. Córka Lewandowskich – nowoczesna, eksperymentująca z imagem, typowa bogata pannica. Chłopak zamknięty w sobie, oryginał. Zafascynowany jakąś subkulturą - chyba emo. Tuż obok Lewandowskich, jakby dla kontrastu, mieszkają typowi reprezentanci polskiej wsi. Katolicka rodzina z czworgiem potomstwa, nie akceptująca homoseksualistów, transwestytów i *innych dewiacji* – do których zaliczają między innymi młodego sąsiada. Nigdy nie wzbudzali we mnie zbyt dużej sympatii, zwłaszcza głowa rodziny. Pijaczyna o wścibskim i wrednym charakterze. Pewnego razu przyczepił się do mnie na parkingu pod marketem. Ledwo trzymając się na nogach, z butelką piwa w dłoni, bełkotliwym głosem szydził ze mnie, wykrzykując – kogo to on widzi i dopytując złośliwie co robię w mieście. Tak jakby moje miejsce było wyłącznie na polu, z motyką w ręce... Wątpliwa przyjemność drwienia z mojej osoby, drogo go jednak kosztowała. Jego okrzyki

skierowane w moją stronę, zwróciły uwagę przechadzającego się w pobliżu patrolu, który wlepił mu wtedy mandacik za spożywanie alkoholu w miejscu publicznym. Od tego czasu już mnie nie zaczepia, uważając, że przynoszę pecha. Pecha jednak zdaje się przynosić jego rodzina. Ilekroć widzę kogoś z jej członków, spotyka mnie coś nieprzyjemnego. Wystarczy, że minę ich na drodze, a zaraz psuje się mój samochód, łapię gumę albo nawet przewracam się na prostej drodze.

Kolejny dom to dom kapuścianych potentatów – Gąsiorków. W latach 90-tych, podobnie jak wielu innych w tej okolicy, zrobili majątek na kwaszonej kapuście i ogórkach. Z pomocą starych Gąsiorków, wybudowali ładny, duży dom, rozbudowali gospodarstwo i zainwestowali w nieruchomości. Potem odcinali tylko procenty od kuponów i bogacili się jeszcze bardziej. W ostatnich latach, chcąc podkreślić swoje holenderskie pochodzenie, zajęli się uprawą tulipanów. Gąsiorek, który w jeansowych ogrodniczkach, z włożonym do kieszeni kwiatkiem, maszeruje z zadwojoną miną po swojej plantacji, jest ojcem *Idealnej D.* *Idealna* to mój osobisty koszmar. Ma wszystko to, czego ja nigdy nie miałam i nigdy nie będę mieć. Tak jak jej rodzicom i jej udaje się każda rzecz, której się tylko dotknie. Ma pieniądze, świetną pracę i przystojnego męża. Na dodatek jest piękna i szczupła. Właściwie, dostała całe to swoje poukładane życie na tacy. Apartament w stolicy w dobrej lokalizacji kupili jej rodzice, posadę załatwiła ciotka, jedynie męża z odpowiednią pozycją, musiała złapać samodzielnie. Swoje wypielegnowane dłonie z perfekcyjnym, czerwonym manicurem zacisnęła na szyi pewnego młodego, obiecującego inżyniera. Początkowo, Gąsiorkowie byli zachwyceni narzeczonym swojej córki. Przed sąsiadami chwalili jego genialny umysł, obiecującą przyszłość zawodową oraz nienaganne maniery. Nazywali go nawet pieszczotliwie *Kryształkiem*. Z czasem jednak, na szlifie szlachetnego kamyka, zaczęli dostrzegać pewną rysę. Pochodzący z niezamożnej rodziny z Inowrocławia, inżynier nie był w stanie dorzucić się do kosztów budowy domu, którą ostatecznie w całości musieli pokryć rodzice panny młodej. Kiedy wymogli oni na córce spisane przedślubnej intercyzy, ich przyszły zięć nie krył swojego niezadowolenia. Odtąd jego stosunki z rodzicami swojej wybranki, lekko oziębły. *Kryształek* stał się nagle w ustach teścia *Dziadem z Kujaw*. Niemniej jednak został mężem *Idealnej D.*, z którą tworzą *idealną, kryształową parę*. Po kilku latach nowożeńczej sielanki, zjechaniu świata wzdłuż i wszerz oraz awansach obojga, *Idealni* zdecydowali się na powiększenie rodziny. Doczekali się wymarzonej parki – syna i córki, którzy w przyszłości zapewne zasilą kolejne szeregi *idealnych*.

Również sąsiadom Gąsiorków - Adamczykom wszystkie marzenia spełniają się niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Mieszkają w domu, który jest bliźniaczo podobny do domu rodziców *Idealnej D.* Są bogaci, nudni i otyli. Oczywiście mają także

idealne dzieci, którym wszystko co zaplanowali, powiodło się w 100%. Dwaj synowie i córka robią wielkie kariery, zarabiają wielkie pieniądze, mają mądrych partnerów, zdrowe dzieci i żyją w niekończącym się szczęściu i harmonii. Czasem odnoszę wrażenie, że nad ich domami nawet słońce świeci zdecydowanie jaśniej niż gdziekolwiek indziej.

Kolejny dom należy do Halskich. W przeszłości powodziło się im całkiem nieźle, jednak nie potrafili wykorzystać swojej dobrej passy. Z czasów świetności pozostał tylko niedokończony płot, przypominający w zarysie barbakan, na którym stoi nie wiedzieć czemu, stary garnek. Kilka lat temu zaliczyli roczną separację - efekt kryzysu wieku średniego, jaki dopadł pana domu. Banał. Facet wyglądający niczym cygański król, z 60 kilogramową nadwagą, złotym łańcuchem na karku i mafijnymi powiązaniem, znalazł sobie kochankę. Po publicznym romansie, jego żona odeszła z domu. Dumy i forsy wystarczyło jej tylko na rok, po czym wróciła do *kochającego* męża. Oficjalnie pogodzili się na pojednawczej sprawie rozwodowej. Ich szczęśliwe życie po powrocie nie trwało długo. Wiarołomny mąż nadal nie stronił od innych kobiet i pewnej nocy spędzonej w łóżku jednej z nich, zaliczył poważny zawał serca. Na tyle poważny, że niedługo po nim, zmarł. Po śmierci został pochowany pod nagrobkiem z dumnym epitafium głoszącym, iż *stworzył legendę*. Nie mam pojęcia co miało być ową legendą. Może system lichwy, którą się trudnił? A może jedna z trzech córek? Te od zawsze wykazywały zamiłowanie do megalomanii...

Za Halskimi znajduje się opuszczone domostwo starego Wróbla. Antypatyczny był ubek miał syna z zespołem Downa i wiele złych słów dla każdego, kogo mijał. Przeszedłszy na emeryturę, wyprowadził się do mieszkania w bloku, w pobliskim mieście. Naprzeciwko mieszka jakaś Warszawianka. Kilka lat temu, wyremontowała stary domek i stworzyła swój idealny świat w wiejskiej głuszy, do którego przyjeżdża na wakacje i weekendy. Pod jej nieobecność, arkadii pilnują koty, których ma chyba około dwudziestki. Warszawianka, podobnie jak reszta mieszcuchów, którzy wykupili działki pod lasem, przy okazji letnich burz i wichur, drży ze strachu o swoją daczę. Ludzie, którym marzyło się zamieszkanie w lesie, chcą nagle by las oddalił się od nich na bezpieczną odległość. Gdy nawałnice cichną, mieszcuchy uświadamiają sobie, że dom pod samym lasem to chyba nie najlepszy pomysł. Ich strach przeradza się wówczas w pretensje i próby wymuszenia wycinki drzew z sąsiednich, zalesionych gruntów. - *Te drzewa są przecież za blisko!* - tłumaczą z werwą, wysyłając coraz groźniej brzmiące pisma do właścicieli leśnych działek, którzy ze śmiechem, lekceważą ich obawy.

Obok warszawianki mieszka rodzina nauczycielsko-policyjna. Ona - pani nauczycielka klas 1-3 w szkole podstawowej. On - komendant komisariatu. Najciekawszym

epizodem w ich życiu wydaje się romans, w jaki w przeszłości wdała się żona policjanta. Sam romans może nie byłby niczym nadzwyczajnym, gdyby wybrankiem pani nauczycielki nie był ksiądz, uczący w tej samej szkole co ona. Pomyśleć, że był to ten sam ks. Krystian, który na lekcjach religii wydzierał się na nas i wyzywał od debili, fujar i bezbożnych zwierząt. Podejrzewam, że jego restrykcyjne i surowe przygotowanie do I Komunii Świętej zapisało się na lata w niejednej dziecięcej głowie każdej parafii, do której zawitał.

Po drugiej stronie drogi, stoi kolejna opuszczona chatka. W przeszłości mieszkał tam pan Rysio – samotny kawaler. Po jego śmierci, pomieszkuje w niej jego siostrzeniec - *Rzezimieszek*. Rozwodnik, pijaczyna, złodziejaszek. Ale na swój pokrętny sposób sympatyczny. Za miedzą, rodzina z siedmiorgiem dzieci. Odkąd pamiętam, ledwo przędli, ponieważ głowa rodziny nadużywa alkoholu i ma dwie lewe ręce. Tuż obok mieszka skąpy Jarek z żoną. Niedawno jeden z ich dwóch synów ożenił się z jakąś osiemnastolatką. Małolata zaszła w ciążę i przeprowadziła do teściów. Widziałam ją kilka razy na polu. Towarzyszyła matce swojego męża w pieleniu warzyw. Z uwieszonym na szyi niemowlakiem próbowała wkupić się w jej łaski. Chyba bezskutecznie, bo żona skąpego Jarka, jak przystało na typową wredną teściową, odburkiwała synowej jedynie monosylabami. Na krzywy uśmiech zdobywała się wyłącznie w kierunku gaworzącego wnuka, który także w końcu jej podpadł, bo zaczął przeciągle płakać. Trudne życie czeka tę młodą. Jedyny pozytyw jej sytuacji, to fakt, że po kilku miesiącach mieszkania ze skąpym Jarkiem, wyraźnie zaczyna chudnąć.

Naprzeciwko Jarka mieszkają Siwińscy. Siwiński to taki mister wsi. Ciemne włosy, oliwkowa karnacja, zgrabna sylwetka i filmowe rysy twarzy. W młodości podobno uganiały się za nim wszystkie panny z okolicy. Był jednak wybredny i z żadną nie chciał związać się na stałe. Kiedy w końcu dorósł do założenia rodziny, wszystkie dziewczyny, które niegdyś cierpliwie czekały na jedno jego słowo, były już zameżne. Najpiękniejszy we wsi musiał nagle sam zacząć zabiegać o czyjeś względy. Nie zwracając uwagi na ubolewania własnej matki, zdecydował się na związek z kobietą niezbyt urodziwą, a na dodatek po przejściach. Żyją nie po bożemu już od wielu lat, bo ona była rozwódką. Mają czworo dzieci, które niestety urody nie odziedziczyły po pięknym ojcu. Wszystkie niczym wierne kopie matki, mają płowe, blond włosy, sine czoła i kartoflowate nosy. Siwiński, pomimo swojej zbliżającej się już pięćdziesiątki, trzyma się nadal zadziwiająco dobrze i bije urodą niejednego trzydziestolatka.

Z Siwińskimi, sąsiaduje pani Gburowa. Jakby na przekór nazwisku, elegancka i wytworna w manierach. Prawdziwa dama, która nigdy nie skalała swoich delikatnych dłoni, ciężką pracą. Niegdyś właścicielka sporego majątku, obecnie wdowa na emeryturze i

babka trójki wnuków. Zimą i jesień spędza zawsze w mieście, u swojej córki – lekarki. Każdej wiosny, wraca na wieś. W letnie dni nosi wielkie kapelusze i zwiewne sukienki, które przywołują na myśl czasy dwudziestolecia międzywojennego.

Naprzeciwno, mieszka Emil ze swoim wujem. Emil jest już dobrze po trzydziestce, ale zachowuje się jak duży dzieciak. Jest lekko opóźniony w rozwoju, a jego opiekun to nałogowy alkoholik. Emil całe dni spędza na bieganiu po podwórzu i obserwowaniu przejeżdżających drogą ludzi. Życie wuja Rycha spełza natomiast na poszukiwaniu wódki oraz kumpli do picia. Mimo to, od tragicznej śmierci rodziców Emila, żyjąc w tej przedziwnej symbiozie, radzą sobie nadzwyczaj dobrze.

Za chylącym się płotem obok, mieszka rodzina z piątką córek. Największym marzeniem ich matki jest wydanie wszystkich za mąż. Dotychczas do ołtarza udało się zaprowadzić tylko jedną. Fakt ten spędza sen z powiek pani domu, która gdyby urodziła się wcześniej, mogłaby posłużyć za pierwowzór Pani Bennet z powieści *Duma i uprzedzenie*. Przy każdej okazji narzeka na staropanieństwo swojej najstarszej latorośli, czekając na podobne zwierzenia ze strony mojej matki, która jednak na ten temat dyplomatycznie milczy.

Obok *Bennetów* mieszka stary Stach. Dziarski mężczyzna po 80-tce jeździ na rowerze i uprawia własnymi rękami grządki warzyw. W młodości, kilka lat spędził w więzieniu za morderstwo. Morderstwo ponoć z miłości. W szale zazdrości zabił swojego sąsiada, który miał romans z jego żoną. Rodzina nieżyjącego już uwodziciela, żyje obok Stacha. Wdowa po wiarołomnym mężu, podobnie jak jej sąsiad, cieszy się końskim zdrowiem. Doczekała się już prawnuków i tak jak niegdyś hoduje w swoim ogródku dorodne róże i lilie, które odkąd pamiętam były jej chlubą.

Za płotem mieszka Skowron z żoną, a tuż obok jego syn - młody Skowronek. Wszyscy członkowie tej rodziny mają czarne oczy, włosy, ciemną karnację i wyglądają jakby wyskoczyli prosto z cygańskiego taboru. Najmłodsza i najpiękniejsza z córek Skowronka, wbrew obiekcjom rodziców i oczywiście ku uciesze reszty wsi, rzuciła studia i wyjechała do Anglii z dużo starszym facetem, w którym zakochała się na zabój.

Naprzeciwno Skowronków mieszka była sklepowa. W latach mojego dzieciństwa prowadziła mały, wiejski sklepik. Biznes padł, kiedy do wsi pobliska piekarnia zaczęła dowozić chleb. Klientów ubyło, a interes przestał być rentowny. Sklepowa zmieniła branżę i założyła jednoosobową firmę sprzątającą. W międzyczasie zdążyła pochować już trzech mężów, a jest w takim wieku, że spokojnie mogłaby wykończyć jeszcze czwartego. Na to jednak się już nie zanosi, bo ostatnimi czasy, lekko zdewociała. Najwięcej czasu spędza na mszach, podczas których wraz z innymi kumoszkami, obserwuje i krytykuje

nieodpowiednie ich zdaniem, stroje młodych dziewczyn. Tuż obok niej mieszka emerytowana nauczycielka z podstawówki. Przeprowadziła się tam kilka lat temu po rozwodzie z mężem, któremu młodsza kochanka urodziła dziecko. Po krótkim czasie nastąpił kryzys w jego nowym związku i wiarołomny mąż chciał wrócić na łono dawnej rodziny. Zdradzona żona zachowała się jednak rozsądnie i go nie przyjęła. Przebarbiowała włosy, odmłodziła, schudła, dużo jeździ na rowerze i widać, że przeżywa drugą młodość. Naprzeciwko niej mieszka rodzina strażaka. Facet ma nieprzyjemną żonę i dwie sztywne jak struny córki. Że też nigdy nie umiałam chodzić z tak wyniosłe podniesioną głową. Może ludzie bardziej by się ze mną liczyli... Przez wiele lat, na działce obok *Sztyniaków*, nikt nie mieszkał. Niedawno wprowadzili się tam jednak kolejni miastowi. Wybudowali ładny dom, a wokół niego masywne, kamienne ogrodzenie, którym chronią swoją prywatność.

Na samym końcu wsi, pod lasem, mieszkają Baby – Jagi. W zasadzie jedna Baba-Jaga, jej córka i wnuczka. Wszystkie są rozwódkami. Najstarsza z nich wygląda jak prawdziwa czarownica i jest w konflikcie z większością ludzi wokół. Gdy byłam dzieckiem, byłam święcie przekonana, że to ona jest bohaterką wszystkich bajek o latających na miotłach wiedźmach. Jej córka, o wiele spokojniejsza, nie potrafiła wyjść spod wpływów zaborczej i dominującej matki. Myślę, że zawsze dawała sobą sterować. Po pierwszej, większej małżeńskiej kłótni, posłuchała rad Baby-Jagi i razem z dzieckiem wróciła do rodzinnego domu. Najmłodsza z rodu Jag, o łagodniejszej niż babka urodzie, jednak równie zadziornym charakterku, już od małego nie dawała sobie w kaszę dmuchać. Wcześniej wyszła za mąż i zrobiła to wbrew woli babki, która wściekała się, że jej jedyna wnuczka wybrała sobie na partnera, chłopaka z miasta. Początkowo wydawało się, że najmłodsza Baba - Jaga podąży własną ścieżką i nie powieli rodzinnego scenariusza. Pracując jako architekt i mieszkając w Warszawie, zdawała się być szczęśliwą żoną kolegi po fachu. Historia jednak lubi się powtarzać, a małżeńska idylla nie trwała długo. Podobnie jak matka i babka, niedługo po ślubie, złożyła pozew o rozwód.

Niestależym, aczkolwiek istotnym elementem tutejszego krajobrazu jest także grupa *ćpunów – śmieciarzy*, która swoją bezpieczną przystań znalazła tuż przy brzegu mojego jeziora. W atmosferze niczym nieskrępowanej ciszy, młodzi mężczyźni i nastolatki z pobliskiego miasta oraz okolicznych wsi, przyjeżdżają tu by kupić lub sprzedać swój towar. Nielegalne interesy ubijają zazwyczaj pod osłoną nocy, parkując swoje samochody tuż za płotem mojego sadu. Niektórzy z nich odjeżdżają zaraz po transakcji, inni zostają na kilka minut, by oprócz świeżego powietrza, nawdychać się także tych wszystkich odurzających środków, którymi krztuszą się potem w isticie spektakularny sposób. W zasadzie, wszystko jest dla ludzi, a wolność do podejmowania własnych wyborów przysługuje każdemu. Jak

dla mnie, mogliby się tam nawet zaćpać na śmierć. Niestety, po każdej ich wizycie, zamiast trupa nad jeziorem, widzę śmieci – tacki po chińskim żarciu, foliowe torebki i plastikowe butelki. Najwidoczniej, narkotyki i dopalacze nie są ich jedynym pokarmem. Początkowo, ojciec każdego ranka sprzątał pozostałości ich nocnych biesiad. W końcu jednak stracił cierpliwość. Łudząc się, że być może narastająca sterta śmieci zniechęci przyjezdnych, postanowił pozostawić stos odpadków własnemu losowi. Ćpunom to jednak nie przeszkadza i depcząc po starych śmieciach, dorzucają za każdym razem, kolejne ich warstwy, które latem giną tymczasowo z zasięgu wzroku w wysokiej trawie, natomiast zimą skrywają się pod śniegiem. W przyrodzie nic jednak tak łatwo nie ginie. Podczas wichur i nawałnic, plastikowe butelki wznoszą się czasem w górę i niczym jesienne liście, tańczą w powietrzu, by opaść na zielone pastwiska sąsiada. Widząc to, wkurzony Ciuk biegnie czasem wraz ze swoimi szczekającymi chartami, by przegonić natrętnych śmieciarzy. Jego interwencje kończą się jednak zawsze w podobny sposób – bezskutecznie. Poczerwieniały ze złości, wbiega potem na nasze podwórze, otoczony swoimi psami, które przed wrzaskami ćpunów, uciekają z podkulonymi ogonami jeszcze szybciej niż ich właściciel. Ciuk nie zrażony wulgaryzmami, którymi jest obrzucany, stojąc na naszym wjeździe – udaje, że jest mieszkańcem naszego domu. Wymachuje przy tym zaciśniętymi pięściami i czeka aż ćpuny odjadą. Potem jak gdyby nigdy nic, spokojnie wraca do siebie. Kiedy ojciec zapytał go, dlaczego swoje akcje kończy zawsze pod naszym domem, Ciuk z przebiegłym wzrokiem, odpowiedział – *Ucikać muse bo to warioty. Tu do was bliżej... Mogu mnie przecie napaść, dum podpolić, okrość...* A takim sposobem, co najwyżej napadną i podpalą nas... Ale Ciuk przecież tym by się nie przejął.

Mieszkańcy mojej wsi jako konglomerat są zaściankowi i złośliwi. Niezbyt sympatyczni. Choć pewnie nie do końca źli. Mężczyźni nagminnie nadużywają alkoholu, a kobiety są w ten najbardziej żalorny sposób, zapatrzone w pociechy, które wydały na świat. Rodzinni i obojętni na nieszczęście innych. Czerpiący wręcz jakąś niezrozumiałą satysfakcję z cudzych porażek. Nieczuli na krzywdę zwierząt. Mało kto rzuci tu coś do jedzenia bezdomnemu psu czy kotu. Większość raczej przegania wałęsające się przybłądy – niby nie wyrządzającym krzywdy - tupnięciem nogi. Pół biedy, jeżeli na tym się kończy. Bawiący się w myśliwego – Lewandowski, strzela czasem do tych biednych zwierząt z fuzji. Niedyś, to - czego nie zastrzelił pan dyrektor, padało zazwyczaj w śmiertelnych konwulsjach po trutkach, którymi raczył wszelkie zbłąkane zwierzęta, nieżyjący już ojciec Eryka. Stary McKenzy i jego kolega – Wróbel, czerpali dziką radość zwłaszcza wtedy, gdy przez przypadek, zatrutą kiełbasę, zjadał pies lub kot, należący do kogoś ze wsi. Kiedy odeszli z tego świata, śmiertelność zwierząt we wsi, zdecydowanie zmaląła. Młode

szczeniaki i kocięta, nadal jednak najczęściej są topione albo wywożone gdzieś w nieznane. Jeżeli jakimś cudem przeżyją przemarsz przez wiejskie zasieki, zatrzymują się u nas albo u sąsiada, który swoją psiarnią lubi szcuć przejeżdżających nad jeziorem, rowerzystów. Widzę czasem jak, gonieni przez sforę chartów, z wrzaskiem i uniesionymi do góry nogami, zjeżdżają z górki z tak dużą prędkością, że ledwo wyhamowują przed brzegiem jeziora. Jeżeli na rowerze jedzie jakaś samotna kobieta, sąsiad z uprzejmością biegnie na pomoc, uciszając szczekającą gromadkę. Przedstawia się jako samotny rozwodnik, czasem nawet jako wdowiec i ucina sobie z poszkodowaną, miłą pogawędkę. Na niezobowiązującym flircie rzecz zazwyczaj się kończy, bo jak sam mawia – *Rodzina jest najważniejsza*. Istotnie, rodzina – jako podstawowa komórka społeczna cieszy się tu najwyższą wartością, a więzy krwi znajdują swoje odniesienie w relacjach międzyludzkich. Większość tutejszych mieszkańców swoje korzenie znajduje wśród jednego z trzech wiodących rodów – Halskich, Stachów lub Gąsiorków. Poszczególne domostwa spokrewnione są ze sobą najczęściej poprzez jakieś pokrętne i czasem zdaje mi się, że zahaczające niemalże o kazirodztwo, rodzinne powiązania. Odnoszę wrażenie, że z wyjątkiem mnie, wszyscy dookoła są tu czyimiś ciotkami, wujkami lub kuzynami, co podkreślają w codziennych kontaktach. Członkowie skoligaconych rodzin zdają się być ze sobą dosyć zżyci i skłonni do poświęceń. Wobec obcych są zdecydowanie bardziej zamknięci i nastawieni krytycznie. Ja jako element napływowy, zrodzony z obcej krwi, który nie urodził się w ich stronach, zawsze czułam się wśród nich obco. Choć spędziłam w tej wsi niemal całą młodość, nigdy nie potrafiłam zrozumieć mentalności jej mieszkańców. Nie potrafiłam i przyznaję - niespecjalnie też chciałam.

Cała książka dostępna w wersji drukowanej oraz jako e-book na:

https://ridero.eu/pl/books/samotna_bezrobotna/